

PzW na Antarktydzie (2): Śladami Arctowskiego i Dobrowolskiego

PzW na Cuverville Island, fot. A. Radczenko

„Płynąłem kiedyś „Ushuaia” przez Cieśninę Drake’a. Szalał taki sztorm, że w naszej kajucie wyrwało drzwi. Musieliśmy się ratować na dolnych pokładach, bo na górnych nie dało się wytrzymać. A twoja kajuta na którym?” – zapytał mnie potem Mikołaj Stariniec, szef XVII. Ukraińskiej Ekspedycji Antarktycznej i stacji „Akademik Wernadskij”. Moja była na szczęście na samym dole, bo najtańsza, ale akurat tym razem Drake był wobec nas litościwy i łagodny jak baranek.



Jeśli [płyniesz do Antarktydy](#) nie ma szans na ominięcie tej słynnej cieśniny przed ponad 400 lat odkrytej przez brytyjskiego korsarza Francisa Drake’a. Minęło kilka wieków, ale do dziś nazwa The Drake Passage budzi niepokój nawet na twarzach wilków morskich. W tym miejscu spotkania Atlantyku z Pacyfikiem oraz obszarze tzw. konwergencji antarktycznej - miejsca, gdzie lodowate wody antarktyczne łączą się z cieplejszymi subantarktycznymi, a różnice temperatury, gęstości i zasolenia wód są tam tak duże, że po obu stronach żyją zupełnie inne gatunki fauny - fale i wiatr nabierają bardzo często niewyobrażalnej prędkości i szaleją fantastyczne sztormy. Byliśmy więc przygotowani na najgorsze (nawet specjalnie z Polski sprowadziłem niedostępny na Litwie „Aviomarin”), tymczasem w naszym przypadku... nie dzieje się nic. Ocean jest łagodny, leniwy, świeci słońce, nad statkiem krążą albatrosy, po niebie suną z wolna nieliczne obłoki, zaś wiatr nie osiąga nawet 20 węzłów... I tak jest w obie strony! „Uwierzcie nam, to prawdziwy cud!” — mówią naukowcy, którzy płyną z nami na statku.

Na pokładzie „Ushuaii”

Jest początek marca, na Litwie jeszcze zima, tymczasem na Antarktydzie kończy się lato. To właśnie teraz Cieśnina Drake’a jest wolna od lodu i możemy swobodnie płynąć w kierunku archipelagu Szetlandów Południowych. Ale już za kilka miesięcy pokrywa lodowa może się zbliżyć nawet do Przylądka Horn. Nawet przy tak idealnej pogodzie przekroczenie tysiąca kilometrów do wyspy Aitcho zajmuje nam prawie dwie doby. Mimo iż załoga stara się urozmaicić nam życie wykładami, filmami i czterema posiłkami dziennie nudzimy się i czas się dłuży na potęgę. A jedyną rozrywką jest wypatrywanie gór lodowych, wielorybów oraz odgadywanie co za danie i z czego podają nam w mesie na obiad, bo nasz kucharz ciągle eksperymentuje z łączeniem niepołączalnych składników; niestety najczęściej nieudanie...

Po śniadaniu rozpoczynają się wykłady. Podczas pierwszego, inauguracyjnego, zapoznają nas z normami postępowania, obowiązkami i ograniczeniami służącymi ochronie środowiska i bezpieczeństwu zwierząt. Do zodiaku np. można wsiadać i zejść na ląd tylko po przejściu procedury dezynfekcji butów, do fok nie wolno podchodzić bliżej niż na 10 metrów, do pingwinów - na 5. „Na szczęście pingwiny nie umieją czytać i nic nie wiedzą o tych przepisach, więc oni się mogą do nas zbliżyć, a nawet nas podskubywać!” — żartuje biolog dr Julieta Pedrana.

Później głos zabiera Alejandro Fazzio Welf, naturalista i historyk, który opowiada o wyprawach na siódmy kontynent. Spora część jego wykładu jest poświęcona pierwszej belgijskiej ekspedycji antarktycznej pod kierownictwem Adriena de Gerlache de Gomery na statku „Belgica”, bo nasza „Ushuaia” płynie właśnie mniej więcej tą samą trasą, którą ona odbyła w 1897 roku. I tu dopiero (ale wstyd!) do mnie – człowieka wychowanego przecież na książkach Aliny i Czesława Centkiewiczów – dociera, że przecież podążam

właśnie śladami rodaków: Henryka Arctowskiego oraz Antoniego Dobrowolskiego!...

Arctowski, który urodził się w 1871 roku w Warszawie jako Henryk Artzt, jeszcze jako gimnazjalista przeniósł się z rodzicami do belgijskiego Liège. Następnie studiował geologię i chemię w Paryżu, a w 1893 roku rozpoczął pracę na Uniwersytecie w Liège. W tym samym roku dla podkreślenia swojej polskości, wystąpił do rządu belgijskiego o zgodę na zmianę swojego nazwiska na Arctowski. W 1895 r. Arctowski poznał Adriena de Gerlache de Gomery'ego, przygotowującego wyprawę antarktyczną na statku „Belgica”, i dostał zaproszenie dołączenia do ekspedycji, która nominalnie będąc belgijską, w rzeczy samej zgromadziła grono zapaleńców z całego świata. Obok Belgów i Polaków w skład wyprawy wchodził liczni Norwegowie (w tym Roald Amundsen) oraz rumuński zoolog Emil Racoviță. Arctowski przed wyruszeniem na wyprawę w 1897 roku zgłosił jeszcze akces polskiego meteorologa Antoniego Dobrowolskiego, który podczas wyprawy jako asystent Arctowskiego prowadził obserwacje meteorologiczne i jako pierwszy Polak opisał Antarktydę.

Wyprawa wyruszyła z Antwerpii w sierpniu 1897 r. W lutym 1898 r. dotarła do brzegów Ziemi Grahama, gdzie została odcięta od oceanu przez lody i zmuszona do zimowania. Dokonano w tym czasie wielu istotnych obserwacji naukowych – zarówno przyrodniczych, m.in. z wyprawy przywieziono bogate zbiory przyrodnicze, jak i geologicznymi, gdyż Arctowski jako pierwszy wysunął wówczas hipotezę, iż łańcuch Andów przedłużony jest aż na Antarktydę. Wyprawa obfitowała w liczne niebezpieczeństwa, statkowi kilkakrotnie groziło zmiążdżenie przez lód, brakowało jedzenia, dwóch członków załogi zmarło. Długie starania załogi o uwolnienie z lodów zaowocowały sukcesem dopiero po trzynastu miesiącach, w marcu 1899 r. Było to pierwsze zimowanie człowieka na Antarktydzie oraz jednocześnie początek tzw. Bohaterskiej Epoki Odkryć Antarktycznych, której apogeum był wyścig Scotta i Amundsena na biegun południowy w 1911 r. Wygrał jak wiemy Amundsen, zaś Scott dotarł jako drugi i skończył tragicznie, umierając w drodze powrotnej.

Pierwsze lądowanie

Pierwszą górę lodową dostrzegamy dopiero pod koniec drugiego dnia żeglugi u wybrzeży Południowych Szetlandów. Dryfuje spokojnie, chwiejąc się wśród fal pokrytych cienką warstwą lodowej kry. Tymczasem na naszych oczach z morza wyrastają brzegi skalistych wysp. Wyłaniające się z ciemnego oceanu i strzelające w pochmurne niebo mroczne kształty czarnych skał, przyprószonych tu i ówdzie lodowcami, przypominają pejzaże Mordoru z „Władcy Pierścieni” J.R.R. Tolkiena. Rzucamy kotwicę przy jednej z najmniejszych z wysp - Aitcho.

Kapitan Sergio Oziroff daje sygnał do lądowania. Zodiac, przywiązany do trapu, huśta się na fali. Moczmy gumowce w płynie dezynfekującym i ubrani w obowiązkowe kamizelki ratunkowe (co prawda w lodowatych wodach Oceanu Południowego nawet w kamizelce wytrzymamy nie dłużej niż 5-10 minut, potem - jak „żartują” marynarze - nawet nie warto fatygować się, aby wyciągać z wody trupa) siadamy na burtach i w chwilę potem mkniemy w kierunku kamienistej plaży, gdzie w miejscu lądowania już czekają na nas... pingwiny.

Wysiadamy wprost do lodowatej wody i po kilku krokach stawiamy stopę na lądzie. Jesteśmy zaskoczeni, bo zamiast znaleźć się w krainie lodu i śniegu – za jaką uchodzi Antarktyka - chodzimy po szarych skałach, kamieniach i żwirze, na którym zielenią się porosty, mchy i grzyby. Najczęściej spotykane ptaki to oczywiście pingwiny – na Aitcho żyją pingwiny antarktyczne (ang. Chinstrap) - z czarną przepaską na podbródku oraz białobrewy (ang. Gentoo). Te pierwsze są niezwykle płochliwe, gdy tylko ktoś się zbliża do nich na zbyt, ich zdaniem, niebezpieczną odległość wznoszą krzyk i zaczynają pierzchać na wszystkie strony. Te drugie wręcz przeciwnie są niezwykle przyjacielskie i ciekawskie, jeśli nie wykonujesz zbyt gwałtownych ruchów oraz zachowujesz milczenie – prędzej czy później podejda do ciebie, aby przyjrzeć się z bliska oraz spróbować na smak twoje spodnie, kurtkę lub rękawice. Posuwając się bardzo ostrożnie znajdujemy wśród nich drogę w głąb wyspy. Poza tym sporo tu albatrosów, kormoranów, petreli, skuł, wydryków, mew i innych ptaków. A nieopodal baraszkuje przy brzegu foki...

Dwie godziny na Aitcho Island mijają niezwykle szybko. Na koniec rozwijam flagę PzW i robię sobie pamiątkowe zdjęcie na tle statku i zatoki. Niech i pingwiny wiedzą, że jest miejsce gdzie „gadasia po

wileńsku”. Pingwiny reagują obojętnie, ale flaga wzbudza żywe zainteresowanie Słowaków: „O, Polonia!” Wyciągają własną flagę narodową, w ich ślady idzie para Tajwańczyków...

Hydrurga Rocks i wyspa Cuverville

Programy rejsów antarktycznych przewidują zazwyczaj wiele lądowań na wyspach, często leżących zaledwie kilometr lub dwa od kontynentu, i tylko kilka na samym Białym Kontynencie. To dlatego, że mają one bardziej przystępne brzegi i ich fauna jest z reguły bogatsza. Poza tym także na wyspach ulokowana jest większość stacji badawczych.

Następnego dnia (jak i każdego innego) mamy dwa lądowania. Najpierw, wczesnie rano, na Hydrurga Rocks, zaś po południu na wyspie Cuverville. Hydrurga – to naukowa (łacińska) nazwa lamparta morskiego, bardzo drapieżnego i agresywnego ssaka morskiego z rodziny fokowatych. Interesujące jest, że na wyspie akurat lampartów morskich prawie nigdy nie bywa, jednak w miejscu naszego lądowania spotyka nas stadko ryczących antarktycznych fok wygrzewających na słońcu. Te foki akurat nie są agresywne, co nie zmienia faktu, iż najlepiej je obchodzić szerokim łukiem; samce bowiem bardzo pieczołowicie strzegą swojego haremu samic i nerwowo reagują na każdego, kto się do niego zbliża. Wyjątkiem są pingwiny, które żyją z fokami w swoistej symbiozie.

Na Hydrurga Rocks pingwinów nie brakuje. Olbrzymie, liczące tysiące sztuk, kolonie pingwinów gentoo i chinstrap pokrywają każde zbocze skalne, obficie „barwiąc” nieliczne płachty śniegu i lodu na żółto, zielono i czerwono (w zależności od tego czym się żywią), zaś nad nimi krążą liczne kormorany i skuły.

Także na malowniczej Cuverville Island znajdujemy dużą kolonię pingwinów gentoo. Wiele spośród nich siedzi, a właściwie stoi jak biało-czarne słupki na ułożonych z drobnych kamyków gniazdach. Wśród młodych pingwinów sporo jest jeszcze takich, które całkowicie pokryte są delikatnym puchem.

Postanawiam wdrapać się na wznoszącą się nad zatoką skarpe. Najpierw pokrytym śniegiem i lodem zboczem. Zbocze nie jest szczególnie strome, ale bardzo śliskie (szczególnie gdy robisz trekking w butach gumowych). Poza tym całe zasikane przez pingwiny, a więc nieostrożność i pospiech mogą kosztować lądowanie w pingwiniej kupie (a pralni na statku brak!). Potem już tylko sto metrów stromym skalnym zboczem w górę. Kamyki usuwają się z pod nóg, ale uparcie (choć powoli) brnę dalej. Po kilkunastu minutach stoję już u granicy lodowca i napawam się widokiem i teraz dopiero zaczynam rozumieć, że o wiele trudniejsza będzie droga w dół...

Wieczorem ruszamy w dalszą podróż malowniczym kanałem Errera Channel, który prowadzi nas wśród lodowych klifów i spiętrzonych gór do zatoki Neko. To tam po raz pierwszy postawimy stopę na siódmym kontynencie. Bo przecież Południowe Szetlandy czy wyspy u wybrzeży kontynentu, choć zaliczane do Antarktyki, nie są Antarktydą...

Ciąg dalszy nastąpi

Wszelkie informacje opublikowane na DELFI zabrania się publikować na innych portalach internetowych, w mediach papierowych lub w inny sposób rozpowszechniać bez zgody DELFI. Jeśli zgoda DELFI zostanie uzyskana, trzeba obowiązkowo podać DELFI jako źródło.